

(Nieznany dotąd tekst Ks. Karola Wojtyły o Holandii z 1947 roku:

wersja polska:

Tygodnik Powszechny z 19 maja 2002 - <http://www.tygodnik.com.pl/numer/275820/wojtyla.html>

wersja holenderska:

http://www.omroep.nl/rkk/docs/Koppig_katholicisme.doc)

Niespodziewane odkrycie

Kilka tygodni temu, w chwili, gdy po blisko trzech latach pracy w Archiwum Jerzego Turowicza wstępne porządowanie olbrzymiego zasobu dokumentów zbliżało się już do końca, a liczba wyodrębnionych z tej masy korespondentów oraz teczek tematycznych sięgnęła dwóch tysięcy, otwarto grubą kopertę opisaną jeszcze ręką Pani Anny Turowiczowej. Miały się w niej znajdować „papiery Jeża (tj. Jerzego Turowicza) prastare”. Istotnie, zawartość pochodziła w całości z lat 40., częściowo z okresu wojny. Na wielkim drewnianym stole w Herbewie znalazły się odręczne notatki Turowicza poświęcone Gałczyńskiemu, anonimowe artykuły w maszynopiśmiennych kopiach na przebitce, być może dla konspiracyjnej „Kultury Jutra”, a także rozmaite listy.

Był tutaj też pewien rękopis: 13 nieco pożółkłych kartek formatu 17,5 na 21 cm, obustronnie zapisanych piórem: wyraźne, równe pismo z niewielką ilością skreśleń i poprawek. Nie miał tytułu (obecny pochodzi od redakcji „TP”) ani nazwiska autora, jednak zarówno charakter pisma, jak i sygnatura umieszczona w lewym górnym rogu pierwszej strony wydawały się znajome. Sięgnęliśmy do jednej z teczek, gdzie znajdował się inny rękopis, z początku lat 50.: recenzja Andrzeja Jawienia ze spektaklu Teatru Rapsodycznego. Nie było wątpliwości: to ta sama ręka. A przecież Andrzej Jawień to pseudonim księdza Karola Wojtyły...

Rękopis okazał się nieznanym tekstem księdza Wojtyły, niewątpliwie kontynuacją jego debiutu w „Tygodniku”: opublikowanego w numerze 9 z 1949 roku artykułu „Mission de France”. Oba stanowiły plon podróży, jaką Karol Wojtyła po zakończeniu studiów w Rzymie odbył do Francji, Belgii i Holandii; pisze o tym dalej ks. Adam Boniecki. Dlaczego odnaleziony teraz tekst nie ukazał się w 1949 roku, skoro „Mission de France” wydrukowano jako „wstępniak”? Dlaczego pozostał w papierach red. Turowicza? Jakiegokolwiek były przyczyny – po 53 latach naprawiamy dziś to niewątpliwe zaniedbanie...

Tomasz Fiałkowski, Michał Smoczyński (Archiwum Jerzego Turowicza)

Katolicyzm uporu

KS. KAROL WOJTYŁA

Spostrzeżenia poczynione w Belgii i we Francji muszą nasunąć nam taką ogólną uwagę: zauważone w tamtych społeczeństwach przejawy życia katolickiego stwarzają pewną całość, dopełniając się wzajemnie. Nie sposób bowiem ujmować ich pod jednym tylko kątem widzenia, np. jako obraz ruiny katolicyzmu, jakby to w pierwszej chwili mogło się narzucać przy pobieżnym rozważaniu owego splotu zagadnień, które składają się na „pays de mission”. Obraz życia katolickiego nigdy i nigdzie nie może być tak całkowicie jednostronny i beznadziejny. Pracują zawsze w jego nurcie pewne przebiegi wyrównawcze. I tak np. pojęciu „pays de mission”, ba, owszem samej rzeczywistości, którą taką określono nazwą, odpowiada inne pojęcie i inna rzeczywistość, którą już obecnie nazwano „communauté missionnaire”. „Pays de mission” oznacza pewne wykańczanie się, wygasanie złóż życia chrześcijańskiego. Jest ono stopniowe, długo utrzymuje się w pozorach, ludzi tymi pozorami, w końcu odślania się w całej swojej pustce. Te złoża wygasania postarano się nawet dokładnie rozgraniczyć i pookreślać: katolicyzm oderwany od właściwych sobie źródeł życia nadprzyrodzonego utrzymuje się jeszcze jako pewien styl kultury, w końcu i to zanika. Wypada nadmienić, że samo to przechodzenie mogłoby stać się przedmiotem ciekawego i dogłębnego studium.

Tymczasem jednak chodzi nam o co innego. Powiedzieliśmy, że katolicyzm, który jest obwodem życiowo zamkniętym, nieprzerwanym, a przy tym samowystarczalnym, nigdy nie może się pojawiać jako całkowita ruina, jako bezwzględne rozdarcie. Zawsze skądś ukaże się dodatni odpowiednik procesów rozkładowych. Jest to w ostatecznej analizie tajemnica życia mistycznego organizmu, życia udzielonego i kierowanego nadprzyrodzonym wpływem Ducha Świętego. W każdym razie sam układ życiowych sił katolicyzmu jest taki, że ten dodatni odpowiednik może się ukazać – przesłanki dla niego istnieją w Ewangelii, przesłanki życiowe w tajemniczym działaniu łaski. Dla człowieka tedy, który jest świadom tych wszystkich prawd o

katolicyzmie, który z uwagą postrzega przebieg zarysowanych odpowiedniości, najciekawszą rzeczą będzie nie samo stwierdzanie rozkładu, ale z napiętą uwagą wpatrywał się będzie w kiełkowanie procesów odrodzeńczych w obrębie tego życia. I tak np. z drżeniem będzie śledził, czy i o ile ta postać życia chrześcijańskiego, którą stwarzają współczesne parafie misyjne we Francji, odpowie wymogom życia, czy i o ile zasada apostołstwa świeckich, apostołstwa dostosowanego ściśle do środowisk, zdoła zastąpić na szeroka skalę dotychczasowe duszpasterstwo bezpośrednie, ześrodkowane wokół samego kapłana. Są to wszystko zagadnienia życiowe, zagadnienia – warto dodać – pasjonujące. Studium stosunków francuskich i belgijskich stawia nas, zdaje się, nie tylko wobec pewnych wypadków, ale bodaj czy nie wobec pewnych praw wartych notowania i sprawdzania. Już sama Belgia stanowi tutaj coś w rodzaju komory laboratoryjnej dla francuskiego katolicyzmu. Różnice są oczywiście dość znaczne: żywioł flamandzki wnosi w belgijskie życie katolickie ogromnie wiele umiaru, równowagi, pierwiastka organizacji budowanej na silnych podwalinach, i to zarówno duchowych, jak materialnych. Przy tym coś bardzo rzetelnego, trwałego. Zrozumienie życia jako ciągłego, uporczywego podboju, w którym nigdy nie należy pożądać wielkich zwycięstw, zadowalać się skromnymi, ale ciągłymi. I jeszcze jedno – Flandria wnosi w belgijskie życie katolickie wyraźny pierwiastek autentycznej, religijnej tradycji – i to tradycji bardzo jeszcze rzeczywistej, nie rozkładanej od środka. Jest to na ogół inna postać tradycji niż nasza polska: tamta jest raczej mieszczańska, nasza raczej ludowa i wiejska. Ale Walonia inaczej. Różnica jest uderzająca. Jest to nie tylko ta część Belgii, w której mówi się po francusku, ale w której powtarza się dość wyraźnie, chociaż w mniejszym nasileniu, cała sprawa francuska, a więc: wielkie ośrodki przemysłowe, gdzie znajdujemy prawie „pays de mission”, środowiska wiejskie i mieszczańskie o podobnych cechach szczątkowo katolickich jak francuskie. Nie dziw tedy, że Belgia może stanowić laboratorium francuskiego katolicyzmu. Przecież Belgowie są doskonałymi pracownikami; jest ich przy tym sporo i umieją doskonale pracować. Pracę kochają i lubią studiować jej wymogi i skrzętnie notować osiągnięcia. Jest to w dużej mierze udział flandryjski. On to właśnie równoważy żywioł romański, będąc zaś z nim organicznie związany, z konieczności zajmuje się jego zagadnieniami, rozpracowuje je i tak bierze w nich czynny udział. Zestawienie to bardzo szczęśliwe i owocne.

Jeśli jednak przesuniemy się nieco dalej na wschód i północ, znajdujemy żywioł flamandzki – niderlandzki w jego postaci wyodrębnionej, niezwiązany z francuskim, nie uczestniczący w załamaniach i odradzaniach się tego ostatniego, ale żyjący w sobie. I wtedy pole doświadczeń staje się znów w inny sposób ciekawe. Znane nam zagadnienia zupełnie znikają w swej dotychczasowej postaci. A mimo tego narzuca się bogaty materiał porównawczy.

Holenderski katolicyzm utworzony jest z zupełnie innej tkanki, na zupełnie innych pracuje zasadach. Nie znamy dosyć szczegółów jego życia, aby odważyć się na podjęcie sprawozdania, ale każdego, kto zajechał do Holandii wprost z Francji i Belgii i przypatrzył się przejawom holenderskiego katolicyzmu, musi on uderzyć właśnie od strony porównawczej. Porównania niejako prędejszą się tutaj narzucają niż samo szczegółowe roztrząsanie faktów. Prędejszą dostrzegamy owoce przeróżnych uwarunkowań, bądź to historycznych, bądź o sam charakter ludu opartych, aniżeli zdążymy wnikać szczegółowo w sam rdzeń holenderskich osiągnięć. Zresztą pobieżnie i ogólnie są one na ogół znane: mniejszość ilościowa przy równoczesnej większości jakościowej, głębokie zrozumienie wszystkich życiowych zagadnień katolicyzmu, takich jak misje zamorskie wśród pogan (odpowiednik kolonialnej potęgi holenderskiej), jak głęboka wiedza chrześcijańskiego światopoglądu (Uniwersytet Katolicki w Nimwegen), jak pełne docenianie wszystkich przejawów życia kulturalnego (prasa, radiostacja katolicka w Hilversum), wreszcie politycznego (partia katolicka, wpływ na rządy w państwie, premier-katolik). Te wszystkie szczegóły są mniej lub bardziej ogólnie znane. Pytamy raczej w tym szkicu porównawczym o zespół uwarunkowań tego całego stylu katolicyzmu holenderskiego. Otóż dość wyraźnie wyczuwa się, że jest to styl pewnego uporu, przy tym uporu w znaczeniu właściwym dla Flamandów, uporu ogromnie rozumnego i roztrzonego. Taki właśnie bezcenny upór jest podstawą dźwignia się holenderskiego katolicyzmu. Przed tym jeszcze należy sobie uświadomić, że katolicyzm w tym kraju również przeżył swój upadek, swe poniżenie przetrzymał w ciągu stuleci. Jeszcze teraz jakiś przypadkowy katolik, zapytany na dworcu w Bredzie o rozkład jazdy pociągów, tak ci będzie tłumaczył: „Proszę spojrzeć, jak mało linii kolejowych w tej części Niderlandów, a jak wiele ich jest w tamtej? – To właśnie dlatego, że ta część zawsze pozostała katolicką, a katolicy zawsze stanowili upośledzoną mniejszość ludności Niderlandów...” To oświadczenie nie jest przypadkiem. Jest wyrazem pewnego poczucia, pewnej świadomości. Tu właśnie odnajdujemy przejaw owego bezcennego uporu, w którym katolicyzm holenderski przetrwał do dzisiaj i dzisiaj właściwie idzie od zwycięstwa do zwycięstwa. Jego postawa podczas okupacji niemieckiej, którą Holendrzy zdaje się boleśniej wspominają niż Belgowie, stanowiła znów ogromny krok naprzód, tak dalece, że królowa-protestantka (dla królowej katolicy żywią cześć, mimo świadomości, że darzy ona raczej sympatią swych współwyznawców, chociaż w swych rządach jest sprawiedliwa i liczy się z przedmiotowym rozkładem sił społecznych i politycznych kraju) – otóż, królowa czuła się zmuszoną zaraz po powrocie do ojczyzny dać wyraz uznania tej postawie katolickiego episkopatu, kleru i ludu. Holendrzy chętnie i często o tym wspominają.

Ale wróćmy do punktu wyjścia, do owego zbiorowego poczucia, do uporu, który zrodził się z faktu systematycznego upośledzenia wszystkiego, co katolickie w Królestwie Niderlandów. Ten fakt prawem jakiegoś

dziwnego wymogu stał się źródłem odrodzieńczych sił. Katolicyzm holenderski, o ile pokrótce możemy zdać sobie z tego sprawę, nie przechodził powolnego rozkładu od wewnątrz, nie przebiegał przez stopnie rzeczywistego odstępstwa przy zachowaniu pozorów kultury, takie stopnie, jakie uświadomiło nam badanie francuskiego zagadnienia „pays de mission”. Jego upadek był dziełem uderzenia od zewnątrz, nie rozkładowej siły racjonalistycznego humanizmu. I dlatego jego losy musiały się inaczej ułożyć. Przy tym to uderzenie od zewnątrz było raczej polityczne i historyczne, tak jak we wszystkich utratkach Kościoła na rzecz protestantyzmu, niż światopoglądowe i moralne, jak w wypadku współczesnego zagadnienia Francji. I dlatego też badanie stosunków holenderskich nie potrafi nam tak dogłębnie odsłonić możliwych przebiegów rozkładu i odradzania się katolicyzmu, nie śledzimy jego losów z takim napięciem, jak francuskiej „communauté missionnaires” lub belgijskiego JOC.

O wiele bardziej odnajdujemy losy Francji w obecnym stanie holenderskiego protestantyzmu. Tak, ten ma swoje „pays de mission”, po wielkich miastach, w takim np. Amsterdamie ilość ludzi po prostu niewierzących lub też zachowujących jeszcze jakieś szczątkowe prawdy religijne stanowi wysoki odsetek. Łatwo nam zrozumieć, o ile taki stan rzeczy wypływa z samych założeń myślowych protestantyzmu, zwłaszcza w jego ostatnim liberalnym ujęciu. Obecnie tę wielką liczbę ludzi obywających się w praktyce bez religii można uważać za pola misyjnej działalności obu stron: i protestantów, i katolików. Wyczuwa się jednak, że typ niewierzącego w Amsterdamie czy Hadze będzie się różnił od niewierzącego z „pays de mission”. Znowu odcisnęły się na ich usposobieniu różnorodne przyczyny. Inaczej musi się ukształtować niewiara jako wynik rewolucyjnego i racjonalistycznego liberalizmu, inaczej jako wpływ pewnej, aczkolwiek liberalnej i racjonalistycznej, niemniej jednak teologii. Stąd w „pays de mission” będziemy mieć do czynienia raczej ze zjawiskiem całkowitego braku, w wypadku holendersko-protestanckim raczej z przejawem ogromnie głębokiego ochwiania.

Nie wchodzmy głębiej w to zagadnienie, gdyż leży ono raczej obok zespołu najżywotniejszych spraw holenderskiego katolicyzmu. Zdaje się bowiem, że najpierwszą dla niego potrzebą nie jest zdobywać ów protestancki „pays de mission”, najwyraźniej pracuje on w innej linii. Nie jest to katolicyzm misyjny w obrębie swego pola wewnętrznego, zasada działania polega w nim na wydobyciu jak najpotężniej wszystkich możliwych wartości tkwiących w samej społeczności katolickiej (ściślej: w katolickiej części społeczeństwa holenderskiego) po to, aby takim jakościowym wysiłkiem zrównoważyć ilościową i historyczną przewagę holenderskiego protestantyzmu. Jeśli powiedziano powyżej, że jest to katolicyzm uporczywy, to należałoby dorzucić obecnie, że upór ten ma wszystkie cechy współzawodnictwa. Po prostu zbiorowa wola sprawdzenia wartości jednego i drugiego wyznania.

Ale od razu trzeba nadmienić: stąd, że katolicyzm holenderski najwyraźniej kształtował się i nadal kształtuje jako funkcja przeciwstawna względem protestantyzmu, wynikają bezpośrednio pewne następstwa. Jest ich kilka. Zaczniemy od najgłębszych.

Chodzi więc najpierw o to, jaki aspekt, jakie ujęcie katolickiej prawdy i katolickiego życia ujawnił ten katolicyzm jako funkcja przeciwstawna protestantyzmu. W tym miejscu porównanie z zagadnieniem francuskim jest może najbardziej uderzające. O ile bowiem we francuskim ruchu misyjnym rzuca się w oczy usilne podkreślanie tego, co można by określić jako „mystique”: wydobywa się tam to wszystko, co razem tworzy ów nadprzyrodzony wyraz życia zarówno osobistego, jak i społecznego, to natomiast holenderski katolicyzm, czerpiąc oczywiście z tychże samych źródeł, rozbudowuje się jednak z całą starannością i przy dokładnym wyzyskaniu wszystkich możliwości, na płaszczyźnie przyrodzonych skutków katolickich zasad i katolickiego życia. Stąd nie tyle tam się słyszy o „mystyce” życia rodzinnego, natomiast dba się po prostu usilnie o liczną i pełnowartościową rodzinę katolicką, nie tyle się rozpatruje chrześcijańską „mystykę” pracy, a tworzy się po prostu chrześcijański ruch robotniczy. Jest to różnica bardzo znamienita, wynikała z różnorodnych uwarunkowań: w jednym wypadku chodzi o przeciwstawienie właśnie mistyki nadprzyrodzonej chrześcijańskiego światopoglądu ściśle przyrodzonej i doczesnej „mystyce” materializmu („mystyka” pojawia się tu jako załamanie i odbicie tegoż materializmu w rozumowych dyspozycjach Francuzów). Stąd tak ważny się staje w owym ruchu odrodzieńczym francuskich misji pierwiastek przedmiotowy, właśnie ta „mystique”, która za sobą pociąga długi trud przekonywania, a jeszcze uciążliwszy trud wyboru. W przeciwieństwie do tego w Holandii dwa wyznania chrześcijańskie zmagają się o potwierdzenie w życiu, a zatem na płaszczyźnie praktycznej i daleko bardziej „przyrodzonej” wartości swoich założeń. Jeśli niewierzącego Francuza z „pays de mission” ma przekonać o prawdzie katolicyzmu ubóstwo księży z „Mission de France”, ich życiowe zrównanie z robotnikiem przez podobieństwo stopy życiowej, przez sam fakt fizycznej pracy, to natomiast Holendra-protestanta, Holendra tak ogromnie trzeźwego i praktycznego ma przekonać o praktycznej i życiowej prawdzie katolicyzmu wymowa zbiorowego faktu dokonanego, cały zespół skutków czysto przyrodzonych katolickiego światopoglądu. Trzeba przyznać, że jakkolwiek w tym ostatnim wypadku znajdujemy się już z dala od samych założeń, to jednak wyczuwamy, że sama odległość tych założeń, samo napięcie pomiędzy nimi nie było nigdy tak radykalne, że nigdy na początku tego przeciwstawienia nie rzucono na szale jakichś dwu przeciwległych „mystyk” o takiej odległości. To jest pierwszy moment porównawczy, moment zdaje się najgłębszy i najistotniejszy. Życiowy wyraz katolicyzmu holenderskiego tworzył się od dawna i ciągle się jeszcze tworzy właśnie jako funkcja przeciwstawna innego chrześcijańskiego wy-

znania, które materialnie rzecz biorąc, zachowuje cały szereg założeń myślowych i życiowych wspólnych z katolicyzmem. Przyszły katolicyzm „misyjny” francuski utworzy się prawdopodobnie jako funkcja przeciwstawna zupełnie sprzecznej z chrześcijańską „mistyki” walki i wyłącznego szczęścia doczesnego. Rozumiemy już teraz chyba całą różnicę napięć w jednym i drugim.

Z tym podstawowym wydobyciem życiowej funkcji przeciwstawnej łączy się bezpośrednio odmienne rozłożenie założeń myślowych w jednym i drugim wypadku. W wypadku francuskim spotykamy, rzecz zrozumiała, przy jasnym zarysowaniu samej istotnej „mistyki” skłonność do pewnego rozszerzania myślowego na płaszczyźnie doczesnych i przyrodzonych następstw chrześcijańskich założeń, owszem, skłonność do wychodzenia pod tym względem naprzeciw ideowego przeciwnika, szukania wspólnych z nim pól, zawłaszczania wysuniętych przezeń placówek pod zasięg własnej „mistyki” (i tak np. pojęciu wspólnoty społeczno-gospodarczej ma odpowiedzieć wspólnota chrześcijańska parafii „paroisie communauté missionnaire”, pojęciu pracy w ujęciu marksistowskim chrześcijańska „mistyka” pracy, która jest świadomym i podmiotowo nadprzyrodzonym współdziałaniem w dziele Stwórcy i Ojca). Zupełnie odmiennie w holenderskich ośrodkach katolickiej myśli i życia będziemy napotykać wyraźną dążność do odcinania się, do stanowczego przeciwstawiania się. Łatwo odgadnąć, że taka postawa rozpoczyna się właśnie w owej funkcji przeciwstawnej względem protestantyzmu. Konieczność sąsiedzowania i współżycia z tym ostatnim wpłynęła na jej stopniowe wytworzenie. Sąsiedztwo to bowiem i współżycie domagało się ciągłej interpretacji tych samych źródeł, tych samych zasad i przesłanek religijnych w odrębny sposób. Należy to podkreślić: chodziło tu o stanowczo odrębną interpretację tych samych zasad i przesłanek. Wówczas stanie się łatwo zrozumiałą ta postawa odcinająca się, ta konieczność wyraźnego rozdziału. Tym bardziej, że w założeniu było to nastawienie obronne, natarcie wynikało siłą faktu z umocnienia się na własnych stanowiskach przy równoczesnym rozkładzie stanowisk przeciwnika. Czy to ma znaczyć, że tam, gdzie chodzi o różnice jeszcze dalsze, o różnice samych najpierwszych zasad i źródeł, tam owo przeciwstawienie się nie powinno być wyraziste i stanowcze? Bynajmniej, ale przy jednym równocześnie zastrzeżeniu: jeśli się nie ma przed sobą „pays de mission”, narosłych w drodze procesów rozkładowych dawnej chrześcijańskiej tradycji pod uderzeniami z zewnątrz, ale uderzeniami natury światopoglądowej i moralnej. Wtedy, w takim terenie misyjnym, gdzie chodzi o zupełne zdobywanie, o odzyskiwanie dusz dla chrześcijańskiej „mistyki”, tam niepodobna oczywiście zaczynać od odcinania się, od przeciwstawiania, raczej należy łagodnie acz nie bez ogromnego wysiłku, doprowadzić na pole własnego zrozumienia tych samych zagadnień, tych samych trudności i bolączek. Dlaczegoż ich sprawiedliwe i postępowe rozumienie i rozwiązanie w życiu ma się koniecznie łączyć z niewiarą, kiedy właśnie tylko wiara daje na nie całkowitą i ze wszechmiar wystarczającą odpowiedź? – O, takie jest właśnie podejście duszpasterzy w „Mission” czy w JOC.

W katolickich natomiast ośrodkach holenderskich odczuwamy niejako przedłużenie tej samej postawy wyrazistej i stanowczo odcinającej się również na odcinku zagadnień społecznych i gospodarczych. Czy znowu można się dziwić temu, skoro widzieliśmy już, że cała holenderska tradycja katolicka jest tradycją owego bezcennego uporu? Nie jest to tradycja zachowawcza, tradycja li tylko przywiązania, ale wręcz tradycja uporu, walki i stanowczego odcinania się. Tworzy ją splot nastawień i zarazem splot osiągnięć, splot wysiłków i zarazem splot wyników. Nie wysuwa się w niej na pierwszy plan jakaś potrzeba przekonywania, łagodnego doprowadzania, raczej potrzeba nakazu scalającego wszystkich katolików. Nakaz taki oczywiście o tyle jest uzasadniony, o ile go słuchają i wprowadzają w życie. A tak jest właśnie w wypadku katolików holenderskich. Tego nauczyli się w ciągu swej długiej tradycji odcięcia i uporu, nauczyli się za pośrednictwem swego bolesnego upośledzenia. I dlatego rozumieją, że taki nakaz scalający powinien dotyczyć wszystkich następstw w życiu. A zatem katolicyzm to znaczy: chrzest, liczna rodzina, szkoła katolicka dla dzieci, uniwersytet katolicki dla dorastających, liczne powołania, i to zarówno wewnątrz kraju, jak też potężny udział w zewnętrznym ruchu misyjnym; prócz tego: katolicka partia w parlamencie, katolicy ministrowie w rządzie, katolickie syndykaty robotnicze, organizacje młodzieżowe. Razem: owa zasada stopniowego, ale stanowczego podboju gruntownie urzeczywistniana (tak chętnie mówią o tym Flamandowie, chętnie podkreślają: my nie mamy skłonności do wielkich wzlotów, do żarliwych przeżyć religijnych, ale kochamy katolicką konsekwencję życiową, z zamiłowaniem opracowuje każdy z nas swoją komórkę, tę, która mu przypadła w udziale. Czyż to nie jest jednak pełnowartościowe zrozumienie swego uczestnictwa w Mistycznym Ciele Chrystusa?) Taki stopniowy podbój życia dla katolicyzmu nie może być tylko czysto technicznym przejawem albo politycznym chwytem. Zwłaszcza, jeśli jest tak dbały o całkowitą katolicką świadomość. „Sentire cum Ecclesia” nie oznacza tam przede wszystkim uczuciowej łączności z Kościołem, ale raczej chłodną na zewnątrz i dosyć twardą, a równocześnie ogromnie świadomą jedność myślenia i chcenia.

Jak ogromna w obrębie tej jedności panuje karność, można się było przekonać na podstawie pewnej długiej rozmowy z Polką, osobą wykształconą i religijnie przygotowaną (należała do katolickich stowarzyszeń akademickich w Polsce, wychowana u zakonnic); obecnie jako żona Holendra miała sposobność zetknąć się bezpośrednio z całym wewnętrznym życiem holenderskiego katolicyzmu. I cóż? Została prawie odrzucona, nie może się zdobyć na ponowne nawiązanie z nim łączności. Tak ogromnie są tam twardzi, tak bardzo wymagają konsekwencji i karność, tak bardzo kładą nacisk na odpowiedzialność, że czuje się dalszą

od swoich współwyznawców niż od jakichkolwiek innych. Taki jest ich styl. Nie chodzi w nim o zaspokajanie uczuciowych potrzeb i skłonności religijnych, chodzi o świadomego ducha katolickiej jedności. „Jest to coś zupełnie innego niż u nas – ja chyba nie zdobędę się na to, aby iść jeszcze raz do tych księży...” – oświadcza z całą determinacją. „A przecież to jest wszystko sprawa mojego wolnego wyboru, rzecz przekonania, nikt nie może mi stawiać tak ścisłych i bezpośrednich wymagań”.

Taka rozmowa ogromnie wiele odślania. Odnajdujemy w niej bez trudu dwa światy, dwie odmiany katolicyzmu. Niepodobna schodzić do szczegółów tej rozmowy; dość podkreślić, że owa pani była osobą inteligentną, religijnie wykształconą i w Polsce z całą pewnością wzorowo praktykującą. Mąż, aczkolwiek protestant – i to z tych bardzo już szczątkowo wierzących – zdawał się jednak okazywać pewną sympatię religii w ogóle, nawet pewne ślady jakiegoś poszukiwania prawdy; wszystko na podłożu bardzo racjonalistycznym i po protestancku liberalnym. Ona nawet zupełnie wyraźnie zdawała sobie sprawę, jakie w związku z tym ciężą na niej obowiązki. Ale za żadną cenę nie chciała się zgodzić na ten styl. Wydawał się jej wręcz niechrześcijański (chrześcijański to był taki jak w Polsce) – wyrachowany, zimny, kategoriyczny. Sądziła, że jeśli jakiś katolicyzm zdoła pociągnąć jej męża, to właśnie taki, jaki zostawiła w Ojczyźnie.

A jednak ten katolicyzm, który wyrósł i rozwinął się jako funkcja przeciwstawna dla holenderskiego protestantyzmu, i pomimo ogromnie nierównego startu, wytrzymał nie tylko porównanie życiowe z nim, ale – co więcej – coraz pełniej wychodzi zwycięski z wiekowego współzawodnictwa – ten katolicyzm jest ogromnie prawdziwy. Odważył się na getto historyczne; w tym swoim odosobnieniu postawił na całkowitą realizację swych myślowych i życiowych zasad, nie uląkł się upośledzenia. Jest ogromnie instytucjonalny (Holendrzy podobnie jak ich bracia Flamandowie belgijscy mają wysokie zrozumienie dla potrzeby organizowania się). Instytucjonalny – a więc krańcowo przeciwny względem francuskiego typu „communauté missionnaire”, gdzie raczej chodzi o przenikanie ideowe, o zdobywanie dla ideologii, aniżeli o bezpośrednio podkreślanie instytucji. Może w tym ostatnim jest mniej odważny; księża bowiem z francuskiej „Mission” pracują na zrębach tego przeświadczenia: jeśli w naszym „pays de mission” ukażemy Ewangelię, ukażemy ewangeliczny styl życia, zyskamy dlań z całą pewnością naszych niewierzących. Moment instytucjonalny przyjdzie później z całą nieodzowną koniecznością. W Holandii ten ostatni moment wydaje się bliższym. Ewangelia to znaczy Kościół.

Naprzeciw protestantów wychodzi holenderski katolicyzm również, ale nie zdaje się bynajmniej, aby to uważał za swoje pierwsze zadanie. Pierwsze jest owo wsobne i organiczne, które starano się zarysować powyżej. Tamto jest jedną z funkcji wtórnych, wynikających z samej konieczności współżycia obu wyznań chrześcijańskich w tym samym kraju. Znajdujemy więc po miastach, w takim np. Amsterdamie, osobne biura czy też przychodnie publiczne, w których szczegółowo opracowuje się każdy wypadek „nawrócenia” protestanta na katolicyzm. Zajmują się tą sprawą osobni księża znający to zagadnienie gruntownie. Osoby odczuwające jakiś religijny niepokój w protestantyzmie, czy też po prostu zainteresowane w poznaniu religii katolickiej, choćby nawet ze względu na małżeństwo (mieszane) ze stroną przynależącą do tej religii, odwiedzają takie przychodnie (noszą one nazwę „drzwi otwarte” – co po holendersku znaczy, jeśli mnie pamięć nie myli, „open door”). Mogą tam w ciągu szeregu rozmów zestawić swe trudności z przedmiotowym wykładem wiary katolickiej, szukać odpowiedzi na dręczące pytania religijne, czy po prostu religijnej porady. I należy przyznać, że owe „otwarte drzwi” do prawdy często się otwierają, setki i tysiące osób przechodzą przez nie w ciągu roku, wiele z nich nawraca się. Można przypuszczać, jak ogromnie głęboką, a przy wszystkim innym, jak bardzo ciekawą musi być praca owych księży, trzymających ręce na pulsie tylu różnorodnych nawróceń. Muszą oni chyba dobrze znać wewnętrzny przebieg wiary wschodzącej i narastającej.

Oprócz takich „drzwi otwartych” urządzone bywają zebrania religijne w miejscach publicznych, ale zawsze poza kościołem. I one również mają za cel wtajemniczenie, wyjaśnianie i pogłębianie wiedzy o katolicyzmie. Ileż tutaj wnosić muszą właśnie uczestnicy o przeciwnych poglądach religijnych, jak bardzo to rozbudza konieczność myślenia i rozumienia własnej wiary! Po tym wszystkim niepodobna się chyba dziwić, że holenderska tradycja katolicka opiera się na tak silnej świadomości rozumowej, jest owocem rozumnego wyboru, za którym idzie życiowa konsekwencja. Sąsiedztwo protestantyzmu zmusiło do takich nastawień.

Na tym kończę ten rzut oka na sprawy holenderskiego katolicyzmu. Jest to żywy wycinek Kościoła walczącego, tak bardzo wartościowy i znamieny. Obraz jego, który tutaj wydobyto, nie obfituje tak bardzo w szczegóły opisowe, raczej daje wyraz narzucającym się porównaniom i zestawieniom. Tak zarysował się w ciągu ośmiodniowej podróży, kiedy to pod świeżym wrażeniem francuskiego „pays de mission” Holandia przedstawiła się jako strefa zupełnie odmiennych zagadnień. Zmieniając szybko pociągi i posuwając się od Bredy do Rotterdamu, następnie do Hagi, przez Leiden do Amsterdamu, a stamtąd na południe przez Hilversum na Utrecht i dalej przez Einsiedeln na Maastricht można się było nauczyć wielu prawd o holenderskim katolicyzmie w rozmowach z księżmi i świeckimi katolikami, przy odwiedzinach różnych placówek katolickiego życia i myśli, zwiedzając wspaniałe gotyckie tury, które dzisiaj na ogół są zborami protestanckimi, objawiając dokładną pustką i ascetycznym obnażeniem swoich wnętrz jeszcze bardziej swój wrodzony ogrom i majestat, podczas gdy katolickie kościoły gnieźdzą się obok w skromnych swoich budynkach – w ciągu tych wszystkich dni – powtarzam – można się było wiele nauczyć i dowiedzieć nie tylko o

holenderskim, ale o katolicyzmie w ogóle, a mając pod ręką świeży materiał porównawczy przekonać się, jak bardzo rzeczywistą jest prawda o Kościele walczącym, i więcej jeszcze, jaka jest różnorodna rozpiętość tych jego walk, od jakich się napięcie zaczyna, i jak się później siłą tych pierwszych napięć rozbudza i rozwija. Jak wszędzie żyje i pogłębia się, w ilu się pojawia odmianach to samo jego życie, w jakie obfituje możliwości rozwiązań, jak naprawdę zdolen jest odnaleźć właściwą linię wśród różnych trudności. Jak przede wszystkim – rozwija się i kształtuje od załamania i głębokich nawet ciosów zadanych, czy też od rzeczywistych – po ludzku sądząc – upadków.

Rozkład i odrodzenie

KS. ADAM BONIECKI

„Piszę dla odmiany z Paryża (...). W ogóle mam z woli Księcia te wakacje poświęcić zwiedzaniu Francji, Belgii, może Holandii, podpatrywaniu metod duszpasterskich. To ostatnie jest czymś bardzo niewymierzalnym” – pisał do Ireny Szkockiej w lipcu 1947. Towarzyszem podróży był z woli Księcia Arcybiskupa Sapiehy studiujący w Rzymie krakowski kleryk Stanisław Starowieyski. Jemu zawdzięczamy informacje o przebytej trasie: „Z Paryża pojechaliśmy do Belgii (...) przejechaliśmy ten kraj wzdłuż i wszerz (...). W tym okresie poznaliśmy z bliska JOC [Jeunesse Ouvrière Catholique, Katolicka Młodzież Robotnicza] i jej założyciela ks. Cardijn (...) Z Belgii zrobiliśmy wypad do Holandii, przez tydzień objechaliśmy ten kraj wiatraków i tulipanów”¹.

Owocem podróży był drukowany w „TP” w 1949 roku artykuł „Mission de France” (publicystyczny debiut ks. Wojtyły) i jego nie drukowana druga część, teraz odnaleziona w Archiwum Jerzego Turowicza. Pierwszy poświęcony był Francji i nowym formom duszpasterskim, księżom z „Mission de France”, zaangażowaniu świeckich. Drugi jest próbą syntezy. Porównując sytuację Kościoła we Francji, Belgii i Holandii, tłumacząc obecny stan religijności w tych krajach historycznymi uwarunkowaniami, Autor wyciąga wnioski odnoszące się do „katolicyzmu w ogóle”. Stara się o obiektywizm i zachowanie dystansu wobec opisywanych zjawisk, nie jest jednak w stanie ukryć swoich fascynacji. Obserwuje dramatyczną i niezwykłą dla polskiego księdza sytuację: „wygasanie złóż życia chrześcijańskiego [które jest] stopniowe, długo utrzymuje się w pozorach, ludzi tymi pozorami, w końcu odślania się w całej swojej pustce”. Ale nie proces laicyzacji sam w sobie fascynuje ks. Wojtyłę, lecz związane z nim „kiełkowanie procesów odrodzeńczych”. Dlatego uwaga Autora skupia się na Holandii: „katolicyzm holenderski przetrwał do dzisiaj i dzisiaj właściwie idzie od zwycięstwa do zwycięstwa”.

Obserwacje zmagania Kościoła z procesem laicyzacji w krajach chrześcijańskich niewątpliwie zaowocują w przyszłości papieską koncepcją „nowej ewangelizacji”. Tymczasem młody ksiądz patrzy i stara się zrozumieć. Jest np. zafrapowany istniejącymi w Amsterdamie ośrodkami, w których „szczegółowo opracowuje się każdy wypadek »nawrócenia« protestanta na katolicyzm”. Zajmują się tym księża „znający to zagadnienie gruntownie”. Tu spod pióra Wojtyły wymyka się westchnienie bardzo osobiste: „Jak ciekawą musi być praca owych księży, trzymających ręce na pulsie tylu różnorodnych nawróceń. Muszą oni chyba dobrze znać wewnętrzny przebieg wiary wschodzącej i narastającej”.

Dzisiaj te notatki, robione ponad pół wieku, czyta się inaczej. My już wiemy, jak sprawy się potoczyły. Wspaniała, gościnna, szlachetnie uparta Holandia z lat młodości miała wrócić do Autora czterdzieści lat później. Pierwszą wielką wewnątrzkościelną sprawą pontyfikatu będzie kryzys w Kościele holenderskim. Aplikacje Soboru Watykańskiego II poszły tam tak daleko, że zakwestionowano kościelny sposób rozumienia roli Rzymu, biskupstwa i kapłaństwa, zmieniano naukę o sakramentach, tworzone takie formy liturgii, które wychodziły poza granice katolickiej ortodoksji. Doszło do napięć i podziałów wśród biskupów i wśród świeckich. Temu wszystkiemu miał zaradzić zwołany do Rzymu w styczniu 1980 roku Synod Biskupów Holenderskich, pierwszy w dziejach „partykularny” synod biskupów. Po raz pierwszy doszło na takim szczeblu do otwartego starcia Urzędu Nauczycielskiego z postawą duchownych i wiernych, którą można nazwać „progreszmem”.

Papież Wojtyła powrócił do Holandii w roku 1985. Decyzję tę powszechnie oceniano jako akt odwagi. Brutalne kontestacje przesłoniły wiele momentów bardzo pięknych i mało kto wie, że po tej podróży poparcie dla Jana Pawła II w Holandii wzrosło z 28 do niemal 70 proc.

Jest w tym młodzieńczym artykule Ojca Świętego zdanie, zawierające jego ówczesne credo, które doświadczenie Kościoła zdobyte w ciągu lat pontyfikatu utwierdziło. „Katolicyzm (...) nigdy nie może się pojawiać jako całkowita ruina, jako bezwzględne rozdarcie. Zawsze skądś ukaże się dodatni odpowiednik procesów rozkładowych. Jest to w ostatecznej analizie tajemnica życia mistycznego organizmu, życia udzielonego i kierowanego nadprzyrodzonym wpływem Ducha Św.”. W końcu nie kogo innego niż św. Piotra Jezus zapewnił że „bramy piekielne go (królestwa niebieskiego) nigdy nie zwyciężą”.

¹ Por. ks. Adam Boniecki „Kalendarium życia Karola Wojtyły” wyd. Znak 2000, str.93-94)